

1

Jest tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty rok. Faceci idą w kraciastych flanelowych koszulach. Jełgawa cicho syczy. Stojąc wciąż w drzwiach biblioteki, czekam, aż mężczyźni mnie miną.

Trochę się ich bałem, podobnie jak wszystkiego innego. Przeczekałem i wyszedłem na zewnątrz; zobaczyłem, że niebo jaśnieje.

Był dokładnie piąty kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

Po postawieniu kilku pewnych kroków zauważyłem, że zatrzymali się przy sklepie spożywczym, zajmując cały chodnik. Nie, nie byłem strachliwy, po prostu nie chciałem ich urazić, demonstracyjnie przechodząc na drugą stronę ulicy. Dlatego zdecydowałem skrócić w lewo i pójść do domu najkrótszą drogą, przez kilka połączonych podwórz. Zazwyczaj wracałem ulicami, pozostawiając ukryte podwórka budynków grającym w piłkę i podobnego rodzaju zdeklasowanym próżniakom. Ale tym razem odważnie skrzyłem w tę stronę.

Na tyłach biblioteki, na skraju podwórza, znajdował się dziwny obiekt – niewielki murowany sześcian o niezrozumiałym przeznaczeniu. Być może był to szyb wentylacyjny piekielnej przebieralni lub coś podobnego. I w tym właśnie miejscu siedzieli inni oni: parę lat starszy

ode mnie szkolny chuligan Ugo (to nie było jego imię, ale ksywa, jak to na bandytę przystało) i dwóch innych w tym samym typie, których nie znałem. Cała trójka paliła.

Próbowałem myśleć o czymś innym i niepostrzeżenie przejść obok. Nic z tego.

Ugo pierwszy się odezwał:

– Pa jakie okulary!

A drugi spokojnie dorzucił:

– Nie biegnij, nie biegnij, musimy pogadać.

Zatrzymałem się i obróciłem w ich kierunku, a książki w moich rękach musiały się czuć żałośnie, bezbrinnie, wręcz prowokująco.

Ugo to spostrzegł i spytał:

– Co tam piszą?

A drugi warknął:

– Szybko opowiadaj, co piszą!

Do głowy wpadło mi dużo błyskotliwych odpowiedzi, ale wybrałem spokojną:

– O różnych rzeczach.

Dwaj przesłuchujący zwrócili się w kierunku trzeciego. Zmierzył mnie wzrokiem, który chyba tylko mi wydał się dziwnie nerwowy, i powiedział:

– Daj papierosy.

W tym samym czasie, daleko, tysiące kilometrów stąd, za oceanem, na innym kontynencie, czyjaś dłoń prześlizgnęła się po dwudziestokalibrowym rewolwerze remingtona, wyciągnęła magazynek, ktoś się upewnił – tak, załadowany.

Ale tutaj potrząsnąłem głową, nie ze skąpstwa czy złości – po prostu nie miałem papierosów. Trzeci za bardzo się nie stropił i powiedział:

– Daj łata.

Odpowiedziałem:

– Nie mam.

Swój żal wynikający z zaistniałej sytuacji potwierdziłem, rozkładając ręce i upuszczając w ten sposób książki na ziemię. Chłopak gestem zatrzymał mnie, gdy próbowałem się po nie schylić i tym samym pozostawił zwróconego twarzą w kierunku jełgawskiej ziemi tego, który kiedyś wierzył, że będzie rządził światem; kontynuował:

– Daj pięćdziesiąt santimów.

Ponownie rozłożyłem szeroko ręce. Jego wymagania zupełnie szczyły:

– Daj dwadzieścia santimów.

Znów zaprzeczając, po raz pierwszy skłamałem, na co trzeci powiedział:

– No teraz to pozwalasz sobie na zbyt wiele.

Wstał.

Gdzieś tam, daleko stąd, dokładnie w tej samej chwili dwudziestokalibrowy remington zatrzeszczał, jakby to był film, gotowy do strzału. Lufa została przyłożona do skroni.

Tutaj trzeci zrobił ten jedyny krok, który nas dzielił, widziałem całkiem wyraźnie jego podbródek, a w mojej głowie zabrzmiał alarm, tak bardzo chciałem być gdzieś indziej.

Tam, gdzieś indziej, kula trafiła perfekcyjnie, roztrząsała czaszkę, rozdarła tkanki. Dźwięk wystrzału bardzo delikatnie zatrzęsnał powierzchnią wody w nieodległym basenie, ale nie dosłyszeli go ani sąsiedzi, ani ludzie znajdujący się na ulicy nieopodal.

Ale ja coś poczułem. Alarm ucichł i rozbrzmiał dźwięk przypominający muzykę. Zdawało się, że coś się wydarzyło, ale nie wiadomo było co. I że jeszcze się coś wydarzy, ale i to nie było pewne. Nawet zachciałem, żeby

mnie pobili, no, żeby przynajmniej raz uderzyli, bo to być może da początek Wydarzeniu. Odchylając się krzywo, spojrzałem obok nich i zacząłem drapać się po czole, tak jakbym próbował sobie coś przypomnieć.

Ugo gwałtownie skoczył na nogi i rozpaczliwymi gestami zwracał na siebie uwagę, jakby chciał coś powiedzieć. Później opowiadał, że wyraźnie usłyszał dźwięk wystrzału.

Drugi, siedzący obok Ugo, usłyszał z kolei dziwną kombinację trzech akordów i poczuł się tak szczęśliwy, tak szczęśliwy, że prawie zaczął płakać. Papieros wypadł mu z dłoni i przypalił koszulę, a na jego twarzy pojawił się głupi uśmiech.

Jedynie trzeci, ten, który stał naprzeciwko mnie, niczego nie usłyszał. Tak później uparcie twierdził. Ogłupił go mój z nagła medytacyjny wyraz twarzy, obrócił się w kierunku swojej bandy, żeby wskazać na moją głupotę, ale zobaczył Ugo z podniesionymi rękami w kształt litery Y i Drugiego – uśmiechającego się, w dymiącej koszuli. Do ostatecznej frustracji Trzeciego doprowadziło to, że dwaj pozostali pomagali mi zebrać książki z ziemi, a ja podniosłem niedopałek i ze smakiem się nim zaciągnąłem po raz pierwszy w życiu.

Nikt z nas nic nie zrozumiał.

Wróciłem do domu jakby pijany, nawet książki mnie nie kusiły. Odłożyłem je na stół, z nikim nie porozmawiałem, nie obejrzałem *Byle do dzwonka*, a tylko patrzyłem przez okno na Jełgawę i wystukiwałem knykциями jakiś rytm. Było jasne, że prac domowych już się nie chce i nie należy odrabiać, ale to, czego się chce i co by należało robić, nie było jeszcze jasne. Wieczorem długo siedziałem przy stole bez włączonego światła. Nie miałem własne-

go pokoju, dlatego mogłem tylko nie włączyć lampki biurkowej.

Po paru dniach w radiu SWH poinformowano o tym, że znaleziono ciało Kurta jakiegoś tam, lidera grupy Nirvana. Pierwsza wersja to oczywiście samobójstwo. Prowadzący złożył wyrazy współczucia i szacunku, od razu wyrażając nadzieję, że to smutne wydarzenie nie wywoła sztucznego napływu fanów, jak to się stało na przykład po śmierci Freddiego Mercury'ego.

Ha, ha, ha, ha, ha, ha.

Jaki tam Mercury, panie didżej. Strzel sobie lepiej naszego taniego, dobrego merkurego.

Nadzieje prowadzącego nie spełniły się. Mógł je zachować do listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku, gdy po szarmancko pikantnej śmierci Michaela Hutchence'a grupa fanów INXS rzeczywiście nie wzrosła. Ale wtedy, w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, rozstrzygały się nasze losy.

Musiało minąć kilka dni, żebym to zrozumiał. Żeby swoje uzasadnienie znalazły intuicyjnie zbierane wycinki z gazet opisujące nieznaną muzyków o miernie pociągającej aparycji oraz teoretyczne i samopotępiające zainteresowanie środkami odurzającymi, przeczcucia depresyjnego estetyzmu i planowanie włóczęgowskich tras. Póki co, po prostu dziwnie się czułem. Inaczej.

2

Przedtem byłem przecież dobrym dzieckiem. Słuchałem się rodziców z pokorą, nauczycieli także, dobrze się uczyłem i myślałem o świetlanej przyszłości, zawodzie adwokata lub prezydenta, który uporządkuje świat i będzie zwalczał niegodziwych ludzi. Najchętniej zostałbym kimś mądrym, bogatym i sławnym. To było jedno i to samo – jeśli ktoś jest mądry, to niesie wspólne dobro, a świat – co jest zrozumiałe samo przez się – wynagradza go pieniędzmi, sławą i szczęściem. Zapewne także pięknymi dziewczynami, z którymi do tej pory zupełnie mi się nie wiodło. Nie wierzyłem tym mądrym, ale biednym; dobrym, lecz nieszczęśliwym i samotnym. Świat powinien być słuszny, a ja chciałem być słusznym w słusznym świecie.

Nagle znalazłem się po drugiej strony barykady. Tak jakbym przez te czternaście lat zbierał nie wiedzę o życiu, lecz siły do smutku i tęsknoty za czymś niezrozumiałym i bezsensownym. Dlaczego, dlaczego ktoś chciałby być Kurtem, cały czas zasmucać siebie i innych, ożenić się z brzydką dziwką i się zastrzelić? Czy nie lepiej być którymś z Take That: uśmiechać się, podobać pięknym dziewczynom i jeszcze zgarniać hajs? Ale nagle staliśmy się grupą (nie, nie grupą, my byliśmy tymi nielicznymi

spoza grupy), która nienawidziła tych, którym się powodzi, a zachwyciła się tymi złymi.

Siedziałem w przyszkolnych krzakach naprzeciwko domu Cyganów, długiego drewnianego budynku ze sztucznymi, namalowanymi oknami (tam naprawdę całymi rodzinami mieszkali Cyganie; w dzieciństwie inne dzieciaki mówiły mi, że nie możemy im pokazywać zabiegów). Dalej rysował się też park Alunānsa i jeszcze barwna kępka drzew, w lokalnej topografii nazywana Sralnią. Siedziałem z Ugo i innymi bandytami i paliłem. Były tam też inne nieprzyzwoite, okryte smutną sławą postaci. Wśród nich Duszek, jeden z trzech lub pięciu braci, którzy wybrali alternatywne podejście do życia. I Nochal, jego brat, który w ogóle nie chodził do naszej szkoły, tylko przyłaził posiedzieć w krzakach. Oraz Didziej, piękny i niebezpieczny człowiek. Miał w zwyczaju jeździć po mnie. Bardzo się go bałem, dlatego zawsze zachowywałem się wobec niego w sposób obojętno-arogancki. I jeszcze jakichś trzech, których imion nie znałem, wszyscy z półdługimi włosami (takich naprawdę długich w tamtym czasie nie miał prawie nikt): jeden miał włosy jasne, drugi bardzo jasne, a trzeci tłuste.

Nochal mówił. Był stary, co najmniej dwa lata starszy od nas, dlatego w tym, co mówił, czuło się życiowe doświadczenie, a w intonacji – wesoły smutek.

Jakiś smarkacz w Stanach wziął strzelbę, wsadził łufę do buzi i powiedział: „Mogę być jak Cobain!”. I strzelba od razu sama wystrzeliła.

– I co z nim?

– Zdechł.

– Strzelby są przecież bardzo czułe.

Nochal spojrział smutno na autora zbędnego komentarza.

– Specjalista od obrzynów się znalazł!

Ten podrapał się po tłustej głowie.

– Jakich olbrzymów?!

Wszyscy na chwilę się zamyślili. U mnie też pojawiło się pytanie:

– Jak on mógł cokolwiek powiedzieć z lufą w ustach?

I sam się zawstydyłem. Nie mogłem przezwyciężyć w sobie logiki, a trzeba było ją pokonać. Didżej uśmiechnął się gorzko i oznajmił:

– Cobain całe życie śpiewał ze spluwą w ustach. Wy tego nie zrozumiecie.

I wskazał w stronę szkoły, wykrzykując:

– *Fuck you!*

Wszyscy zamilkli na chwilę. Słyszałem jak w Sralni Eos gra *Something in the Way*.

Ten w jasnych włosach (widziałem go kiedyś poza szkołą) zapalił połówkę papierosa i powiedział:

– Cobain żył w kartonowym pudle. Zawsze bardzo bolał go brzuch. Dlatego ćpał.

Didżej znów się wzburzył. Machnął rękami w górę i ostro, z wściekłością, odparł:

– I dobrze zrobił! Wszyscy powinniśmy tak postąpić. Bo ci tutaj – rzucił, wskazując palcem w stronę szkoły – mówią, że tak nie wolno. Ale my jesteśmy za Cobainem. W każdym razie ja.

Ten z tłustymi włosami zastanawiał się na głos:

– Skąd by tu wziąć?

Didżej tajemniczo-pogardliwie machnął ręką i subtelnie wskazał dom Cyganów.

Nochal uspokajał:

– Można też się napić. Wódki.

Didżej machnął głową na potwierdzenie, ale brat Nochala przykładnie sprzeciwił się:

– Strasznie ciężko tę wódkę łać w siebie.

Naraz wszyscy odżyli i zaczęli rzucać poradami:

– Można zagryźć wódkę papierosem!

– Można też wymieszać z yuppi – dodał nieznajomy w jasnych włosach.

W głowie zapisałem sobie te przepisy. Yuppi, tak przy okazji, to taki popularny w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych proszek, którym barwiono wodę, zamieniając ją w lemoniadę. Ze swojej strony dorzuciłem:

– Wódka jest super, gdy się ją pije przez słomkę. Wsadzasz sobie do wewnętrznej kieszeni marynarki, słomka w usta i tylko ssiesz. Nienormalnie, to znaczy idealnie, można się narąbać.

Mówiłem nienaturalnie naturalnym głosem o rzeczach, których nie doświadczyłem. Zapach wódki znałem do tej pory tylko z oparów ojca. Historia ze słomką to był żart opowiedziany przez moją siostrę jej klasowym kolegą. Gdy to mówiłem, wyobraziłem sobie: co to za słomka, która sięga z wewnętrznej kieszeni marynarki do ust? Przecież to kłamstwo, więc zaraz moi nowi, nieznajomi przyjaciele, wrogowie kłamstwa i dwulicowości, zdemaskują mnie i wyślą do prymusów, na pożegnanie tłukąc mi okulary na twarzy.

– Jakiej marynarki? – krzyknął kpiarsko Didżej, podniósł ręce i zademonstrował swoją dziurawą dżinsową kurtkę, pokrytą zdobieniami zrobionymi długopisem: „Hate”, „Incesticide” i „Fuck”.

Moi rodzice nigdy by się na coś takiego nie zgodzili.

Duszek się odezwał:

– Mnie się zdaje, że piwo jest jednak smaczniejsze. Pewnego razu wypilem... – Coś przykuło jego wzrok od strony domu Cyganów i kontynuował głośniej: – Pewnego razu wypilem bardzo dużo piwa...

Stała tam dziewczyna, patrzyła w naszą stronę: długie włosy, krótka spódnica, ciężkie buty. Didżej skoczył na nogi, podbiegł do niej, a ona go pocałowała, tak na serio cmoknęła i oboje poszli, a fe!, trzymając się za dłonie. Miała mały plecak, takie były wtedy w modzie.

Ciszę przerwał Ugo, gdy niespodziewanie oznajmił, że wino także jest dobre. Przypomniałem historię obiadu u starego kardynała Richelieu, gdy królowi Szwecji *incognito* podano tokaj, napój mienił się w lampce niczym płynny rubin.

– Przecież wino jest drogie!

Tak mi się wymysknęło. Ugo uśmiechnął się jeden raz, potem drugi i wyciągnął z kieszeni butelkę. Zdmuchnął kurz, pokazał etykietę, na której niewątpliwie widniał napis: „Wino Zagadka”. Wszyscy powiedzieli:

– Mmm! Ooo! No, dajesz!

Ugo zaproponował wypicie butelki na spółę. Wszyscy się zgodziliśmy. Ale moje serduszko zaczęło walić. Zaraz przecież zacznie się lekcja. A uczniowie powinni chodzić na lekcje. Byłem buntownikiem duszą i ciałem, paliłem – czy naprawdę muszę coś jeszcze robić? Pozwólcie mi chodzić na lekcje, porządnie się ubierać, słuchać się rodziców, tak naprawdę jestem z wami w moim sercu, które teraz nerwowo kołacze.

Ale w butelce był alkohol, który od zawsze skrycie mnie interesował, tak samo jak interesowały mnie opowieści o maniakach, despotach i katastrofach. Przed

kilkoma laty koleżanki z klasy wypisały z książki do historii opisy tortur i czytały pozostałym na głos. Rozumiałem zainteresowanie bólem i spotęgowanymi uczuciami – gdzieś przecież było to życie, które w końcu musi się rozpocząć. Tak też było z alkoholem, błyszczał w butelce niczym płynne nieszczęście.

A dziewczynom pijacy ponoć się podobają (tak mawiał Blaumanis). Dziewczynom o smukłych nogach w ciężkich butach zwłaszcza. Dziewczynom ze świata Kurta. Wyciągnąłem rękę. Ugo spytał:

– Ktoś ma korkociąg?

Tak jak wszyscy, ja też obmacałem kieszenie, jakby mógł się tam magicznie pojawić korkociąg. Wszyscy rozłożyli ręce – ech, no jak to tak, bez sensu, no nic, co robić, trzeba wracać do szkoły, no bo co? Tu wtrącił się Nochal z radą, że wino równie dobrze da się otworzyć w drugą stronę. Potrzeba jedynie dobrego korkopchacza, za który może posłużyć klucz, solidna gałąź lub długopis. Naraz wszyscy zabraliśmy się za szukanie długopisów po krzakach, wtem odezwał się tłustowłosy nieznajomy:

– Eureka! Pobiegnę do stołówki. W kredensie musi coś być.

I prędko pobiegł do szkoły. Patrzyłem za nim i pomyślałem, że przecież w szkolnej stołówce może wcale nie być korkociągu, a nawet jeśli, to wątpliwe, aby taki rzadki egzemplarz przekazano utytłanemu uczniowi; on zwyczajnie uciekł, uciekł od przestępstwa, degradacji, zagadki, która pozostała między nami. Trochę zazdrościłem uciekinierowi, ale miałem wobec niego także miłe myśli – to on wyrobił przewidzianą dla mnie normę strachu i zdrady. Już otwierał ciężkie szkolne drzwi,

słyszeliśmy, jak zabrzmiał dzwonek, a po nim drzwi – trzask! – zamknęły się i dźwięk ucichł.



Po dłuższym czasie, po wieczności, niedługo po wydaniu tej książki we Francji, otrzymałem list:

„Przeczytałem Pana książkę, tak, pamiętam to wydarzenie, gdy w krzakach pod szkołą piliśmy wino i chciałbym trochę naprostować to, o czym Pan napisał. Naprawdę było tak: to ja wtedy pobiegłem po korkociąg i wcale nigdzie nie uciekałem. W szkolnej stołówce miałem dobre znajomości, sypiałem ze wszystkimi kucharkami i dyżurnymi, często razem piliśmy. Nie wszyscy w szkole o tym wiedzieli, tylko ci najfajniejsi. Teraz piszę z Nancy, gdzie pracuję w koncernie kosmetycznym i każdego dnia wypijam po dwie butelki bordeaux chardonnay, jeśli Pan rozumie, co to znaczy”.